

## ***GRA PLAYING NOVEL- GARSA INTERACTIVE***

To była goraca noc - noc kiedy wypaliliśmy Chrom. W pasażach i na placach cmy tłukły się na śmierć wśród neonów, lecz w pokoiku Bobby'ego jedyne światło padło z ekranu monitora oraz zielonych i czerwonych LED-ów na płycie symulatora matrycy. W tym symulatorze znalazłem na pamięć każdą kosc; wyglądał jak całkiem zwyczajny Ono-Sendai VII 'Cyberprzestrzeń Siedem', ale przerabiałem go już tyle razy, że trudno było znaleźć w całym tym silikonie choćby milimetr kwadratowy fabrycznego obwodu.

Czekaliśmy przy konsoli obserwując cyfry zegara w lewym dolnym rogu ekranu.

- Wchodzisz - rzuciłem, gdy nadszedł właściwy moment, ale Bobby był już wewnątrz, pochylny lekko, by grzbietem dłoni wepchnąć do gniazda rosyjski program. Zrobił to z wdziękiem dziecka, wciskającego monetę do automatu w salonie, pewnego zwycięstwa i gotowego na serię darmowych gier.

Srebrzysta fala fosfenów zawrzała w polu widzenia, gdy matryca rozwijała się w moim mózgu niby trójwymiarowa szachownica. nieskończona i doskonale przejrzysta. Rosyjski program skoczył do przodu kiedy tylko weszliśmy w sieć. Gdyby ktoś jeszcze włączył się w ten fragment matrycy, mógłby dostrzec fale migotliwych cieni płynących od malej, złotej piramidy, która

reprezentowała nasz komputer. Program był bronią mimetyczną, zaprojektowana do absorpcji lokalnych barw i udawania komend o najwyższym priorytecie w każdym kontekście jaki napotka.

- Gratulacje - usłyszałem głos Bobby'ego - Właśnie zostaliśmy probnikiem inspekcyjnym Agencji Energii Atomowej Wschodniego Wybrzeża...

Co oznaczało, że opróżniamy światłowodowe łącza cybernetycznym odpowiednikiem syreny alarmowej. W symulacji matrycy wrażenie było takie, jakbysmy pedzili wprost do bazy danych Chrom. Nie widziałem jej jeszcze, ale wiedziałem, że mury już czekają. Mury ciemności, mury lodu.

Chrom: słiczna dziecięca buzia, gładka jak stal, z parą oczu, które pasowałyby do dna jakiegoś atlantyckiego rowu; lodowate szare oczy, trwające pod straszliwym ciśnieniem. Podobno przyrządzała własne nowotwory dla ludzi którzy weszli jej w drogę; barokowe indywidualne odmiany, zabijające przez całe lata. Wiele rzeczy opowiadano o Chrom, a żadna nie dodawała odwagi.

Dlatego przesłoniłem jej obraz obrazem Rikki. Rikki kleczacej w smudze światła zakurzonego słońca, wpadającego na poddasze przez kratownice szkła i stali. Jej wyblakłego kombinezonu w maskujące łaty, różowych sandałów,

miekkiej linii pleców, gdy szuka czegoś w nylonowej torbie na sprzęt.

Podnosi głowę; kosmyk nie całkiem blond włosów opada i laskocze ją w nos.

Uśmiecha się, zapina stara koszula Bobby'ego, naciągając na piersi

bawełne w kolorze khaki.

Uśmiecha się.

- To dran - mówi Bobby - Właśnie powiedzieliśmy Chrom, że jesteśmy kontrola

z Urzędu Podatkowego i trzema pozwami do Sadu Najwyższego. Trzymaj się

Jack.

Na razie, Rikki. Może nie zobacze cie już nigdy.

I ciemność, czarny mrok w lodowych salach Chrom.

Bobby był kowbojem, a lod istotą jego gry. Lod od LOD, Logicznego

Oprogramowania Defensywnego. Matryca jest abstrakcyjna reprezentacja

powiązana między systemami danych. Uprawnieni programiści włączają się do

sektora matrycy swego pracodawcy i zostają otoczeni jasnymi figurami

geometrycznymi przedstawiającymi dane korporacji.

Ich wieże i pola rozciągały się w bezbarwnej nonprzestrzeni matrycy,

elektronicznej konsensualnej halucynacji odwzorowujacej obrobke i wymiane poteznych ilosci danych. Uprawnieni programisci nigdy nie ogladaja lodowych murow, za ktorymi pracuja, murow cienia chroniacych ich dzialania przed innymi: przed artystami szpiegostwa przemyslowego i popychaczami typu Bobby'ego Quine'a. Bobby to kowboj, haker, wlamywacz naruszajacy wszechobecny elektroniczny system nerwowy ludzkosci, popychajacy dane i kredyt w ciasnej matrycy, monochromatycznej nonprzestrzeni, gdzie jedynymi gwiazdami sa geste skupiska informacji, a wysoko nad nimi plona korporacyjne galaktyki i zimne ramiona spiralne systemow wojskowych.

Bobby to jeszcze jedna mlodo-stara twarz, jakie widuje sie w Eleganckiej Porazce, lokalu modnym wsrod komputerowych kowbojow, popychaczy, specow od cybernetyki. Jesteśmy partnerami.

Bobby Quine i Automatyczny Jack. Bobby to chudy, bladý facet w ciemnych okularach; Jack - twardziel z mioelektrycznym ramieniem. Bobby to software, Jack - hardware; Bobby wciska klawisze, Jack wprowadza wszystkie drobiazgi, ktore moga zapewnic przewage. Tak przynajmniej mowili bywalcy Eleganckiej Porazki zanim Bobby postanowil wypalic Chrom. Dodawali czasem, ze Bobby traci ped, zwalnia. Mial dwadziescia osiem lat, a to sporo jak na kowboja.

Obaj byliśmy całkiem niezli, ale ten wielki numer jakos nam się nie  
trafiał. Wiedziałem gdzie szukać odpowiedniego sprzętu, a Bobby znalazł  
wszystkie chwytaki. Siedział przy konsoli z białą frotową opaską na czole, i  
walil w klawisze tak, że oczy nie nadążały. Potrafił wycisnąć przejście  
przez najwymyślniejszy lod. To jednak zdarzało się rzadko. Tylko wtedy,  
kiedy coś wciągało go totalnie, czyli nieczęsto. Nie miał właściwej  
motywacji. Ja z kolei byłem facetem, który jest zadowolony, kiedy ma z  
czego zapłacić czynsz i może włożyć czystą koszulę. Bobby lubił dziewczyny.  
Były jego osobistym tarotem czy czymś w tym rodzaju. Tak się zachowywał.  
Nie rozmawialiśmy o tym, ale tego lata zaczął sprawiać wrażenie, jakby  
tracił kontakt, częściej bywał w Eleganckiej Porażce. Siedział naprzeciw  
otwartych drzwi, obserwując przechodzące tłumy. Całe noce, kiedy owady  
atakowały neony, a powietrze pachniało perfumami i barowym zarciem. Widac  
było, jak jego ciemne okulary skanują pływające twarze. Musiał uznać, że  
Rikki jest tam, na którą czeka, dzokerem i maskotka. Nowa.

Pojechałem do Nowego Jorku sprawdzić, co słychać na software'owym  
rynku.

Finn miał nad wejściem popsuty hologram, METRO HOLOGRAFIX, nad wystawą  
martwych much pod warstwą kurzu. Złomu po pas, wznoszące się ku

scianom, prawie niewidocznym zza bezimienych smieci i pilsniowych polek uginajacych sie pod starymi pismami z golymi panienami i pozolklymi rocznikami National Geographic.

- Potrzebujesz spluwy - stwierdzil Finn. Przypominal rekombinowana DNA z eksperymentu, ktorego celem bylo wyhodowanie czlowieka do szybkoosciowego rycia tuneli. - Szczesciarz z ciebie. Mam tu nowego Smith and Wessona, Tactical cztery-zero-osiem. Ma pod lufa ksenonowy projektor, widzisz? Baterie w kolbie. Na piecdziesiat jardow, w pelnej ciemnosci daje dwunastocalowy krag, jak slonce w poludnie. Zrodlo swiatla tak male, ze praktycznie prawie nie do wylapania. Czlowieku, w nocnej walce to prawdziwe czary.

Pozwolilem, by ramie stuknelo opadajac na stol i zaczalem bebnic palcami.

Serwa dloni brzezaly jak male moskity. Wiedzialem, ze Finn nie cierpi tego dzwieku.

- Moze chcesz to wyciszyc? - pogryzionym czubkiem flamastra dotknal duraluminiowego nadgarstka. - Czy raczej kupic cos mniej halasliwego?

Nie przerywalem.

- Nie potrzebuje spluwy, Finn.

- Dobra - mruknał - dobra.

Przestałem bebnic.

- Mam tylko jedną sztukę, i nawet nie wiem, co to jest - wyglądał bardzo nieszczęśliwie. - W zeszłym tygodniu dostałem od tych dzieciaków spod mostów i tuneli w Jersey.

- Od kiedy to kupujesz coś, o czym nic nie wiesz?

- Spryciarz - podał mi przezrystą kopertę z czymś co przez babelkowaną folię przypominało kasetę audio. - Mieli paszport - wyjaśnił. - Mieli karty kredytowe i zegarek. I to.

- Chcesz powiedzieć, że mieli zawartość czyichś kieszeni.

Kiwnął głową.

- Paszport był belgijski. Moim zdaniem fałszywy, więc wrzuciłem do pieca.

Karty też. Zegarek w porządku, porsche, ładna sztuka.

Najwyraźniej miałem do czynienia z jakimś zewnętrznie sprzęganym programem wojskowym. Wyjęty z worka wyglądał jak magazynek niewielkiego karabinka,

pokryty matowym czarnym plastikiem. Na rogach i krawedziach przeswitywał srebrny metal, pewnie pojemnik zdążył już przejść przez wiele rak.

- Dam ci rabatu Jack. Przez pamięć dawnych czasów.

Musiałem się usmiechnąć. Finn dający rabat, to tak jakby Pan zawiesił prawo grawitacji, kiedy musisz taszczyć ciężką walizkę długim, lotniskowym korytarzem.

- Wygląda na rosyjski - stwierdziłem. - Pewnie awaryjny system kontroli ścieków w jakimś przedmieściu Leningradu. Akurat czegoś takiego potrzebuje.

- Wiesz co - oświadczył Finn. - Mam parę butów, które są starsze od ciebie. Czasami wydaje mi się, że masz tyle klasy, co ci barbarzyńcy z Jersey. Czy mam ci powiedzieć, że to klucze do Kremla? Ty powinieneś odgadnąć, co to właściwie jest. Ja tylko sprzedaję.

Kupiłem.

Beztępo, skręcamy w lodowy zamek Chrom. Pedzimy szybko, bardzo szybko.

Wrażenie jakbyśmy mknęli na grzbiecie fali inwazyjnego programu, zawieszeni nad zmiennym blaskiem mutujących systemów defekcyjnych. Jesteśmy świadomymi plamami oleju, spływającymi wzdłuż korytarzy mroku.



Gdzieś tam mamy ciała, bardzo daleko stąd, w ciasnym pokoiku na poddaszu, pod sufitem ze stali i szkła. Gdzieś tam mamy może tylko mikrosekundy, by się wycofać.

Przebilismy bramy jako poborca podatkowy i trzy pozwy, ale jej obrona była specjalnie przygotowana na takie oficjalne wtargnięcia. Najbardziej skomplikowany łód chroni przed nakazami, pozwami i wezwaniami. Kiedy przeskoczyliśmy pierwszą bramę, bloki jej danych zniknęły za lodem instrukcji rdzenia, murami które widzimy jako mile korytarzy, labirynty cienia. Piec niezależnych linii przesłało wezwanie o pomoc do firm adwokackich, lecz wirus przejął już parametry łodu. Systemy defekcyjne przelkają sygnał alarmowy, a nasze mimetyczne programy skanują wszystko, co nie zostało wyczyszczone instrukcją rdzeniową.

Rosyjski wirus znajduje wśród nieekranowanych danych tokijski numer, który wybiera ze względu na częstotliwość połączeń, przeciętną długość rozmów i szybkość z jaką Chrom odpowiada na telefony. - Dobra jest - mówi Bobby. -

Wchodzimy jako kodowana rozmowa od jej kumpla w Japonii. To powinno pomóc.

Do dzieła, kowboju.

Bobby odczytuje przyszłość z kobiet. Jego dziewczyny to wroźby, zmiany

pogody. Całymi nocami siedzi w Eleganckiej Porazce i czeka, aż będzie mógł położyć przed sobą nową twarz, jak kartę.

Tamtej nocy do późna pracowałem na poddaszu. Musiałem przyciąć jeden chip. Odczepiłem ramię, łącząc małą spawarkę wprost do kikuta.

Bobby przyszedł z dziewczyną, której jeszcze nie znałem. Zwykle czuję się trochę głupio, gdy ktoś obcy widzi, jak pracuję, wszystkie te kable przypięte do twardych węglowych końcówek sterczących z mojego kikuta.

Podeszła od razu i spojrzała na powiększony obraz na ekranie. Potem zauważyła spawarkę, działającą pod hermetyczną osłoną. Nic nie powiedziała, patrzyła tylko. Od razu poczułem do niej sympatię, to się zdarza, czasami.

- Automatyczny Jack, Rikki. Moja współniczka.

Rozesmiał się, i objął ją w tali. Coś w tonie głosu dało mi do zrozumienia, że spędzę tę noc w jakimś niedznym hoteliku.

- Cześć - powiedziała. Wysoka, dziewiętnastoletnia, może dwadzieścia lat; z pewnością miała wszystko, co trzeba. I tych kilka piegów na nosie, i oczy gdzieś pomiędzy ciemnym bursztynem a kawą z mlekiem. Wąskie, czarne dzinsy podwinięte do połowy łydki, wąski plastikowy pasek, różowy jak sandały.

Lecz teraz, kiedy widuje ja czasem, probujac zasnac, stoi gdzieś na granicy  
ciagu miast i dymu, jak hologram wsuniety pod zrenice. W jasnej sukience,  
ktora musiala chociaz raz miec na sobie, kiedy ja znalem - czymś co nie  
siega kolan. Gole nogi, dlugie i proste. Rozwiane kasztanowe wlosy z  
jasnymi pasemkami zaslaniaja twarz. Widze jak macha na pozeganie.

Bobby demonstracyjnie przerzucal audiokasety.

- Musze leciec kowboju - powiedzialem odczepiajac spawarke. Patrzyła z  
uwaga, jak zakladam ramie.

- Mozesz cos naprawic? - spytala.

- Wszystko, co tylko zechcesz. Automatyczny Jack ci to zalatwi -  
pstrzyknałem jej przed nosem duraluminiowymi palcami.

Odczepila od paska maly dek symstymu i pokazala zlamany zawias pokrywy  
kasety.

- Jutro - obiecalem. - Nie ma sprawy.

No, no myslalem, gdy sennosc niosla mnie szesc pieter w dol, na ulice.

Jakie szczescie bedzie mial Bobby przy takiej maskotce? Jesli jego system

działa, lada chwila będziemy bogaci.

Na ulicy usmiechnałem się, ziewnałem i wezwałem taksówkę.

Zamek Chrom topnieje, płyty lodowego cienia migocą i zanikają, pochłaniane przez systemy defekcyjne, które rozwija rosyjski program, które odpryskują od osi logicznego pchnięcia i zakazają samej struktury lodu. Systemy defekcyjne to cybernetyczne analogony wirusów, replikujące się i zarłoczne. Mutują równocześnie i bezustannie, podkopując i absorbując osłonę Chrom.

Czy zdołaliśmy ją sparaliżować, czy może gdzieś dzwoni alarm i błyska czerwona lampka? Czy ona wie?

Rikki z Dżicy, nazwał ją Bobby i przez pierwsze kilka tygodni musiała uważać, że trafiła wygrany los. Wielka obfitość płynęła przed nią, jasna i ostra w świetle neonów. Była nowa, miała do zbadania mile deptaków i placów, wszystkie sklepy i kluby, i Bobby'ego do tłumaczenia delikatnych połączeń na ciemnej, dolnej powierzchni spraw, do przedstawiania graczy, ich imion i ich rozgrywek. Sprawiał, że czuła się jak w domu.

- Co się stało z twoją ręką? - zapytała kiedyś, gdy we trojkę pililiśmy przy

stoliczku w kacie Eleganckiej Porazki.

- Lotnia - odparłem. - Wypadek.

- Lot nad polem pszenicy - dodał Bobby. Niedaleko miejsca zwanego Kijowem.

Nasz Jack wisiał w ciemności pod płatem Nightwinga, z pięćdziesięcioma kilogramami lasera między nogami. I jakiś dumny Rosjanin przez pomyłkę odpałił mu łapę laserem.

Nie pamiętam jak zmieniłem temat, ale zmieniłem.

Ciągle sobie powtarzałem, że to nie Rikki mnie rusza, ale sposób w jaki

Bobby ja traktuje. Znałem go od dawna, od końca wojny.

Wiedziałem, że używa kobiet jako pionków w grze. Bobby Quine przeciw fortunie, przeciw czasowi i nocy. A Rikki pojawiła się akurat wtedy, gdy potrzebował czegoś, co wprawi go w ruch, jakiegos celu.

Dlatego powierzył jej rolę symbolu wszystkiego, czego pragnął a nie mógł zdobyć i tego co zdobył a nie mógł utrzymać.

Nie lubiłem słuchać, kiedy mi powtarzał, jak bardzo ja kocha, a świadomość,

ze naprawde w to wierzy, tylko pogarszala sprawe. Byl mistrzem ciezkich upadkow i blyskawicznych ozdrowien. Ogladalem ten cykl juz dziesiatki razy. Rownie dobrze mogl nosic na okularach zielony, fosforyzujacy napis NASTEPNA i blyskac nim ku pierwszej ciekawej twarzy, jaka przeplynie miedzy stolikami w Eleganckiej Porazce.

Wiedzialem, co z nimi robi, zamienia w emblematy, znaki na mapie zycia popychacza, nawigacyjne latarnie, za ktorymi moze podazac przez morze barow i neonow. Nie potrafil inaczej sterowac. Nie kochal pieniedzy jako takich, w kazdym razie nie tak, by scigac ich blask. Nie dzialal dla wladzy nad ludzmi; nienawidzil odpowiedzialnosc, jaka sie z tym wiaz. Odczuwal pewna dume ze swej sztuki, ale nie wystarczala, by sklonic go do dzialania.

Dlatego potrzebował kobiet.

Rikki zjawila sie, kiedy byl w tragicznym stanie. Zanikal szybko, a na gorze juz szeptali, ze traci talent w grze. Potrzebowal jednego wielkiego numeru i to szybko, poniewaz nie znal innego zycia, a wszystkie jego zegary ustawiono na czas popychacza, wyskalowany ryzykiem i adrenalina. I tym nienaturalnym spokojem, ktory nadchodzi, gdy kazdy ruch okazal sie sluszny, a slodka masa cudzego kredytu wskoczyla na twoje konto.

Nadchodził czas, by spakować manatki i odejść. Dlatego Rikki ustawił wyżej i dalej, niż którakolwiek z poprzednich dziewczyn. A przecież - miałem ochotę mu to wykrzyknąć - była obok nas, rzeczywista, ludzka, głodna, elastyczna, znudzona, piękna, podniecona. Była wszystkim.

Potem wyszedł któregoś popołudnia, mniej więcej tydzień przed moją podróżą do Nowego Jorku i spotkaniem z Finem. Wyszedł i zostawił nas na poddaszu, w oczekiwaniu na burzę. Połowa świetlika była w cieniu nigdy nie dokończonych kopuł, druga ukazywała niebo, błękitne i czarne od chmur. Stałem przy ławie, i patrzyłem w to niebo, oglupiały od upału i wilgoci. Wtedy mnie dotknęła, musnęła po całowalnej granicy twardej, różowej blizny, której nie kryło ramię. Kiedy ktoś dotykał tego miejsca, przechodził zwykle wyżej na bark, szyję...

Ale nie ona. Miała paznokcie pomalowane na czarno, nie ostre, ale owalne, z lakierem o odcień jaśniejszym od węglowych włókien powłoki ramienia. A jej dłoń zsuwała się w dół, czarne paznokcie gładziły spójnię laminatu, do anodowanego łokcia, nadgarstka, palce po dziecinnemu, miękkie, rozłożone by pokryć moje... jej dłoń na perforowanym duraluminium.

Druga reka musnela plytki sprzezenia zwrotnego; padalo az do wieczora, a krople deszczu bebnily w stalowa krate i brudne szyby nad lozkiem Bobby'ego.

Mury lodu przemykaja jak naddzwiekowe motyle cienia. Za nimi czeka matrycowa iluzja nieskonczonosci. Jakbym ogladal nagranie budowy z prefabrykatow, tylko tasma puszczona jest od tylu i z duza szybkoscia, a sciany to poszarpane skrzydla.

Usiluje nie zapomniec, ze to miejsce i otchlan poza nim to tylko reprezentacje, ze nie jestesmy 'w' komputerze Chrom, ale tylko sprzezeni, ze to symulator matrycy na poddaszu Bobby'ego generuje iluzje... Pojawia sie rdzen danych, odsloniety i bezbronny... To przeciwna strona lodu. Obraz matrycy, ktorego jeszcze nie ogladalem, widok na ktory patrzy codziennie i nie zwraca uwagi pietnascie milionow uprawnionych uzytkownikow.

Dane rdzenia wznosza sie wokol jak pionowe pociagi towarowe w kolorach kodow dostepu. Jaskrawe barwy postawowe, niesamowicie jasne w przejrzystej pustce, laczone niezliczonymi poziomicami w dzieciecych blekitach i rozach.

Lecz lod wciaz okrywa mrokiem cos w samym centrum: serce kosztownej



ciemności Chrom, samo serce...

Późnym popołudniem wróciłem z wyprawy do Nowego Jorku. Przez świetlik wpadało niewiele światła, ale na monitorze plonał wzorzec lodu, dwuwymiarowa reprezentacja ochrony czyjegos komputera, neonowe krzywe splecione jak dywanik modlitewny Art Deco. Wyłączyłem konsolę i ekran pociemniał.

Na moim pulpicie leżały rzeczy Rikki, nylonowe torby, ubrania, kosmetyki, para czerwonych, kowbojskich butów, kasety audio i lśniące japońskie magazyny z gwiazdami symstymu na okładkach. Poukładałem wszystko na podłodze i odpiąłem ramię. Zapomniałem, że program Finna mam w prawej kieszeni kurtki i musiałem niezgrabnie sięgnąć tam lewą ręką. Wkreciłem go w wyłożone gąbką szczęki jubilerskiego imadła. Spawarka przypomina stary gramofon, taki do płyt, z imadłem pod przezroczystą pokrywą. Dźwignia długości centymetra porusza się na tym, co w gramofonie byłoby ramieniem. Nie patrzę na nią, kiedy umocuję przewody do kikuta; patrzę na ekran, bo tam widzę to ramię, czarno białe w powiększeniu 40x.

Przeleciałem kontrolę narzędzi i wziąłem laser. Był trochę ciężki, więc przeskalowałem czujnik ciężaru do ćwierć kilograma na gram i wziąłem się do

roboty. Przy 40x bok kasety przypominał oponę ciężarówki.

Przelamanie zajęło mi osiem godzin, trzy ze spawarką, laserem i czterema tuzinami nakłuc, dwie przy telefonie, kiedy rozmawiałem ze swoim kontaktem w Colorado, i trzy, żeby zainstalować dysk leksykalny, który potrafił przetłumaczyć techniczny rosyjski sprzed osmiu lat.

Znaki cyrylicy popłynęły ekranem, w połowie drogi zmieniając się w angielski. Było sporo luk, kiedy leksykon trafiał na specjalistyczne, wojskowe akronimy, bez odpowiedników w zbiorze kupionym od mojego człowieka z Colorado. W końcu jednak zyskałem pewne pojęcie o tym, co sprzedal mi Finn.

Czułem się jak punk który wychodzi kupić sprezynowiec, a wraca z małą bombą neutronową.

Znowu się przemyślałem, pomyślałem. Po co mi bomba neutronowa w ulicznej boju?

Zabawka pod pokrywą nie mieściła się w mojej lidze. Nie wiedziałem nawet gdzie ją wylądować, gdzie szukać nabywcy. Ktoś wiedział, ale teraz był martwy; ktoś z zegarkiem porsche'a i fałszywym belgijskim paszportem.

Nigdy nie próbowałem dotrzeć do tych kregów. Oprychy Finna z przedmiem

Jersey trafiły na kogoś o niezwykłych powiązaniach.

Program w imadło był rosyjskim lodolamaczem, morderczym wirusem.

Świtało, gdy wrócił Bobby. Sam. Zasnąłem z torbą kanapek na kolanach.

- Zjesz coś? - zapytałem, nie całkiem rozbudzony, podsuwając mu kanapki.

Śniłem o programie, o falach jego systemów defekcyjnych, o mimetycznych podprogramach. We śnie był zwierzęciem, bezkształtnym jak galareta.

Odsunął torbę, podszedł do konsoli i wcisnął klawisz funkcyjny. Ekran zapłonął splotem wzorca, który widziałem po południu. Lewą dłoń przetarłem oczyma - to jedna z niewielu rzeczy, których nie potrafię zrobić prawą. Usnąłem rozważając, czy powiedzieć mu o programie. Może powinienem sprzedać go samodzielnie, zatrzymać forse, wyjechać w nowe miejsce, poprosić Rikki, by poszła ze mną.

- Czyje to? - spytałem.

Stał przed ekranem w czarnym, bawełnianym dresie, ze starą, skórzaną kurtką narzuconą na ramiona jak peleryna. Nie golił się od paru dni, a twarz miał chudsza niż zwykle.

- Chrom - powiedział.

Ramię zadygotało, zaczęło stukac, gdy translacja strachu płynęła do mioelektryki poprzez karbonowe gniazda. Rozsypałem kanapki: zwiędła zielenina i żółte plastry sera na brudnych deskach podłogi.

- Zwariowałeś.

- Nie. Myślisz, że nas wyszukała? Wykluczone, już bylibyśmy martwi.

Połączenie przez potrójnie chroniony system publiczny w Mombasa i algierskiego satelity komunikacyjnego. Wie, że ktoś u niej się rozglądał, ale nie potrafi złapać tropu. Gdyby Chrom przeszukała trasę, jaka Bobby dotarł do jej łodzi, to bylibyśmy już chodzącymi trupami. Ale chyba miał rację. Inaczej rozwaliliby mnie w drodze z Nowego Jorku. - Dlaczego ona, Bobby? Podaj mi chociaż jeden rozsądny powód. Chrom: widziałem ją może z dziesięć razy w Eleganckiej Porażce. Może chciała się upić, a może sprawdzała stan człowieczeństwa, do którego sama nie w pełni aspirowała. Słodka buzia otaczająca parę oczu, najpaskudniejszych jakie znam. Odkąd ja pamiętam, wyglądała na czterdzieści lat, potężnymi dawkami surowic i hormonów chroniona przed jakimkolwiek typem normalnego metabolizmu. Ulica nie wydała nikogo wredniejszego, choć ona nie należała już do ulicy. Należała do Chłopców; miała mocną pozycję w lokalnej galezi mafii. Kazały plotki, że zaczynała jako handlarz, jeszcze w czasach, kiedy syntetyczne

hormony były zakazane. Od dawna jednak nie musiała sprzedawać hormonów.

Teraz miała Dom Blekitnych Światel. - Zdurniales Quine. Podaj jeden powód,

dla którego trzymasz to na ekranie. Skasuj i to natychmiast. - Gadali w

Porazce - odparł, zrzucając kurtkę. - Czarna Myron i Wrona Jane. Jane ma

oko na wszystkie złącza w seksie, i twierdzi, że wie, gdzie płynie forsa.

Kłociła się z Myron, że Chrom nie jest zwykłą figurantką Chłopców, ale ma

pakiet kontrolny w Blekitnych Światłach. - 'Chłopcy', Bobby -

powiedziałem - to ważne słowo w tej okolicy. Czy nadal potrafisz to

dostrzec? Nie wchodzimy Chłopców w drogę, pamiętasz? Dlatego jeszcze

żyjemy.

- Dlatego ciągle jesteśmy biedni, wspólniku - siadł na obrotowym krześle

przed konsolą, rozpiął dres i podrapał się w błądź, chuda pierś. - Ale może

już niedługo.

- Mam wrażenie, że nasza spółka została właśnie permanentnie rozwiązana.

Wtedy się uśmiechnął. Wyszczerył zęby jak zupełny szaleniec, jak zwierze.

Wiedziałem, że nie obchodzi go, czy zginie.

- Zastanów się - poprosiłem. - Mam jeszcze trochę forsy. Weź ją, wsiadź w

metro do Miami, złap kopter do Montego Bay. Musisz wypocząć chłopie. Musisz

się jakos pozbierać.

- Nigdy nie byłem bardziej pozbierany, Jack - odparł, wystukując coś na konsoli. Neonowy modlitewny dywan zamigotał i drgnął, gdy zadziałał program animacyjny. Linie lodu spletały się w hipnotycznym rytmie, jak żywa mandala. Bobby wciskał klawisze. Tempo spadło; wzorec rozwinał się, stracił nieco złożoności, zmienił w obraz przejściowy między dwoma dalekimi konfiguracjami. Robota pierwszej klasy; nie przypuszczałem, że nadal jest taki dobry.

- Teraz - powiedział. - Tutaj, widzisz? Zaczekaj. Tam. I tu. I jeszcze tu. Łatwo przeoczyć. Jest. Co godzinę i dwadzieścia minut ciecie transmisji impulsowej do ich satelity. Moglibyśmy przeżyć rok za to, co im płaci tygodniowo jako ujemne oprocentowanie.

- Czyjego satelity?

- W Zurychu. Jej bankierów. To jej konto, Jack. Tam idzie szmal.

Stałem nieruchomo. Moje ramię zapomniało o stukaniu.

- A jak ci poszło w Nowym Jorku, wspólniku? Znalazłeś coś, co pomogłoby przeciąć ten lod? Wszystko może się przydać.

Patrzyłem mu prosto w oczy, z wysiłkiem powstrzymując się od spojrzenia na spawarkę i jubilerskie imadło. Tam, gdzie pod przezroczystą osłoną czekał rosyjski program.

Dzokery i maskotki.

- Gdzie Rikki? - spytałem, stając przy konsoli. Udałem, że studiuje zmienne wykresy na ekranie.

Z kumplami - wzruszył ramionami. - Dzieciaki, wszystkie marza o symstymie - usmiechnął się z rozmarzeniem. - Robię to dla niej, chłopie.

- Muszę to przemyśleć, Bobby. Jeśli chcesz, żebym wrócił, trzymaj łapy z daleka od klawiatury.

- Robię to dla niej - powtórzył gdy zamknąłem drzwi. - Wiesz, że tak.

W dół, coraz niżej. Program to karuzela wśród postrzępionego labiryntu murów cienia, szarych przestrzeni katedr między jasnymi wieżami, Szalency ped.

Czarny lod. Nie myśleć o tym. Czarny lod.

Zbyt wiele historii w Eleganckiej Porazce. Czarny lod należy do mitologii.

Lod, który zabija. Nielegalny, ale przecież wszyscy działamy poza prawem.

Jak ohydne Slowo, ktore wyzera umysl. Jak epileptyczny spazm, co trwa i trwa, az nie pozostaje nic.

A my nurkujemy do fundamentow zamku cienia Chrom.

Probuje sie przygotowac na nagly zanik oddechu, slabosc, ostateczne zwiotczenie miesni. Lek przed zimnym Slowem, ktore czeka gdzies tam wsrod czerni.

Wyszedlem, i zaczalem szukac Rikki. Znalazlem ja w kawiarni, z jakimś chłopakiem z oczami Sendai i na wpol zagojonymi liniami szwow, biegnacymi promieniscie od ciemnych oczodolow. Na stoliku lezala otwarta, blyszczaca broszura. Tally Isham usmiechala sie z tuzina fotografii. Dziewczyna z oczami Zeiss Ikon.

Maly dek symstymu byl wsrod rzeczy, ktore wczoraj zdjalem ze swojego pulpitu - ten sam, ktory naprawialem drugiego dnia po spotkaniu. Spedzala cale godziny, wlaczona w ten zestaw, z kontaktowa opaska niby szarym diademem na czole. Uwielbiala Tally Isham, a po zalozeniu opaski odchodzila gdzies w zarejestrowane doznania zmyslowe najwiekszej gwiazdy symstymu. Symulowana stymulacja: swiat - a w kazdym razie jego najciekawsze elementy



- postrzegane przez Tally Isham. Tally pedzaca czarnym poduszkowcem Fokkera przez płaskowyz Arizony. Tally nurkujaca w rezerwatach Truk Island. Tally podczas przyjecia na prywatnej, greckiej wysepce: zapierajaca dech czystosc i malenkie biale przystanie o swicie.

Wlasciwie byla troche podobna do Tally: ta sama kolorystyka, te same kosci policzkowe. Miala chyba bardziej stanowcza linie ust.

Wiecej charakteru. Nie chciala byc Tally Isham, ale marzyla o jej karierze.

Chciala byc w symstymie. Bobby wysmiewal te plany, ze mna jednak czasem rozmawiala.

- Jak bym wygladala w parze czegos takiego? - pytala, pokazujac calostronicowe zdjecie twarzy, z blekitnymi Zeiss Ikon Tally Isham, w obwodce wlasnego ciemnego bursztynu. Dwa razy operowala rogowki, ale wciaz nie uzyskala 20-20. Dlatego chciala Ikony. Marka gwiazd. Bardzo drogie.

- Ciagle ogladasz oczy? - spytalem siadajac przy nich.

- Tygrys wlasnie kupil - odparla. Wygladala na zmeczona.

Tygrys byl tak dumny ze swych Sendai, ze nie potrafil skryc usmiechu, choc

watpie, czy usmiechalby sie w innym wypadku. Dysponowal ujednocionym typem wygladu jaki powstaje po siodmej wizycie w chirurgicznym butiku; przez reszte zycia bedzie troche podobny do kazdej nowej gwiazdy sezonu. Nie nazbyt wyraznie, ale tez nic oryginalnego.

- Sendai, prawda? - usmiechnalem sie takze.

Przytaknal. Przygladalem sie, jak usiluje objac mnie profesjonalnym, symstymowym spojrzeniem. Udawal, ze nagrywa. Moim zdaniem, za duzo czasu poswiecil na moje ramie.

- Beda swietne w obrazach peryferyjnych jak tylko miesnie sie wygoja - stwierdzil. Widzialem jak ostroznie siega po filizanke. Oczy Sendai sa znane z defektow percepcji glebi i problemow gwarancyjnych. Miedzy innymi.

- Tygrys wyjezdza jutro do Hollywood.

- A potem moze Chiba City - usmiechnalem sie znowu. On zachowal powage. - Dostales propozycje, Tygrysie? Znasz jakiegos agenta?

- Chce sie rozejrzec - odparl cicho. Potem wstal i wyszedl. Pozegnal sie pospiesznie z Rikki. Ze mna nie.

- Nerwy wzrokowe tego chłopaka zaczną się rozpadac w ciągu sześciu miesięcy. Wiesz o tym Rikki? Te Sendai są nielegalne w Anglii, Danii i jeszcze paru krajach. Nie można wymienić nerwów.

- Jack, daruj sobie wykłady - porwała mojego croissanta, i nadgryzła rozek.

- Myślałem, że jestem twoim doradcą dziecinko.

- Tak. Wiesz, Tygrys nie jest zbyt bystry, ale wszyscy słyszeli o Sendai. Na nic innego nie mógł sobie pozwolić. Więc ryzykuje. Jeśli znajdzie pracę, wymieni je.

- Na takie? - wskazałem broszurę Zeiss Ikon. - To kupa forsy Rikki. Nie będziesz chyba ryzykować.

Skinela głowa.

- Chcę mieć Ikony.

- Jeśli idziesz do Bobby'ego, przekaz, żeby siedział cicho, dopóki się nie odezwe.

- Dobra. Jakies interesy?

- Interesy - przytaknałem. Ale to było szalenstwo.

Dopilem kawę, a ona zjadła oba croissantsy. Potem odprowadziłem ją do

Bobby'ego. Wykonałem piętnaście telefonów, każdy z innej budki.

Interesy. Zupełne szalenstwo.

Ogólnie poświęciliśmy sześć tygodni na ustawienie skoku. Sześć tygodni

opowieści Bobby'ego o tym, jak bardzo ją kocha. Pracowałem bardziej

intensywnie, żeby tylko tego nie wysłuchiwać.

Najwięcej czasu zajmowały telefony. Każdy z piętnastu pierwszych, bardzo

dyskretnych sondazy prowadził do piętnastu następnych. Szukałem kogoś, kto

świadczyl pewnego rodzaju usługi, naszym zdaniem absolutnie niezbędne w

skrytej ekonomii podziemnego świata. Ten ktoś nigdy pewnie nie miał więcej

niz pięciu klientów na raz. I nigdy się nie reklamował.

Szukaliśmy największego pasera świata, nierejestrowanej pralni zdolnej do

wyprania w czasie rzeczywistym megajulowego gotówkowego transferu. I do

zapomnienia o całej sprawie.

Wszystkie te rozmowy okazały się stratą czasu, gdyż w końcu dopiero Finn naprowadził mnie na trop. Pojechałem do Nowego Jorku kupić nowy układ czarnej skrzynki - opłaty telefoniczne doprowadzały nas do bankructwa.

Wyłożyłem mu problem w sposób możliwie hipotetyczny.

- Macao - oświadczył.

- Macao?

- Rodzina Long Hum Maklerzy giełdowi.

Znal nawet numer. Jeśli szukasz pasera, pytaj innych paserów.

Ludzie Long Hum mówili tak ogólnikowo, że to, co uważałem za subtelne podejście, zaczęło przypominać taktyczny atak nuklearny. Bobby dwa razy leciał promem do Hongkongu, żeby dogadać szczegóły. W szybkim tempie kończył nam się kapitał. Wciąż nie wiem, czemu postanowiłem mu pomagać; bałem się Chrom, a nigdy nie byłem tak cięty na forse.

Próbowałem sobie przetłumaczyć, że wypalanie Domu Blekitnych Światel to świetny pomysł, bo to wredne miejsce. Ale mi nie szło. Nie lubiłem Blekitnych Światel, ponieważ spędziłem tam kiedyś wyjątkowo ponury wieczór, ale to żaden powód, żeby brać się za Chrom. Włściwie byłem prawie pewien, że zginiemy w tej akcji. Nawet z morderczym programem szanse mieliśmy raczej niewielkie.

Bobby spędzał czas pisać zestaw instrukcji, które chcieliśmy włączyć w samym centrum komputera Chrom. To miało być moje zadanie, gdy on będzie powstrzymywał rosyjski program przed zadaniem ostatecznego ciosu. Był zbyt skomplikowany, żebyśmy potrafili go skorygować, więc miał go wyhamować na potrzebne mi dwie sekundy.

Dogadalem się z ulicznym wojownikiem, jakimś Milesem. Obiecał chodzić za Rikki w noc akcji nie spuszczać z niej oczu i w umowionym czasie zatelefonować do mnie. Jeśli nie podniosę słuchawki albo nie odpowiem w określony sposób, miał ją wepchnąć w pierwsze metro z miasta. Dostał kopertę, którą powinien jej przekazać. Pieniądze i wiadomość.

Bobby właściwie nie myślał, co ona zrobi jeśli zawałimy numer.

Powtarzał tylko jak bardzo ja kocha, gdzie pojedzie i na co wydadza  
pieniadze.

- Przede wszystkim kup jej Ikony, chłopie. Marzy o nich. Poważnie myśli o  
karierze w symstymie.

- Co ty - spojrzal znad klawiatury. - Nie będzie musiała pracować. Uda się  
na Jack. Ona jest moim szczęściem. Już nigdy nie będzie musiała pracować.

- Twoje szczęście - mruknąłem. Nie byłem specjalnie szczęśliwy. Nie  
pamiętałem już kiedy ostatnio byłem. - Widziałes je gdzieś ostatnio?

Nie widział, ale ja też nie. Mielismy za dużo roboty.

Tesknilem za nią. I tęsknota przypomiała mi o jedynej nocy w Domu  
Błękitnych Świątel, ponieważ poszedłem tam tęsknić za kims innym. Na  
początek się upiłem, potem ruszyłem do inhalatorów Vasopressinu. Jeśli  
twoja najważniejsza panią właśnie postanowiła odejść, woda i Vasopressin  
są ultimatywna mieszanka masochistycznej farmakologii. Gorzala robi cie  
ekliwym, a Vasopressin zmusza, żebyś pamiętał. To znaczy naprawdę pamiętał.  
Klinicznie używają go do hamowania starczej sklerozy, ale ulica znajduje

własne zastosowania. I tak kupiłem sobie ultraintensywną powtórkę nieudanego romansu. Problem w tym, że dostaje się złe wspomnienia razem z dobrymi. Polujesz na przesyłkę zwierzecej ekstazy, a dostajesz przy okazji to, co powiedziałeś, i co ona na to, i jak odeszła nie oglądając się nawet za siebie.

Nie wiem już, czemu postanowiłem odwiedzić Blekitne Światła, ani jak tam trafiłem, do wyciszonych korytarzy i tego naprawdę ostrego, dekoracyjnego wodospadu, który chlupotał gdzieś w głębi. A może to tylko hologram. Miałem wtedy forse; ktoś dobrze zapłacił Bobby'emu za trzysekundowe okno w czyimś łodziu.

Nie sadzę, abym spodobał się obsłudze, ale pieniądze miałem takie, jak trzeba.

Napiłem się jeszcze, kiedy już załatwiłem to po co przyszedłem. Potem rzuciłem barmanowi jakiś dowcip o gabinetowych nekrofilach. Nie przyjął tego najlepiej. Później taki wielki facet uparł się, żeby mnie nazywać Bohaterem Wojennym, czego nie lubię. Chyba pokazałem mu parę sztuczek moim ramieniem, jeszcze zanim zgasły światła, i obudziłem się po dwóch dniach w nagim module noclegowym, zupełnie gdzie indziej. Tani lokal, nie było nawet



miejsca, żeby się powiesić. Siedziałem sobie na wąskim placie gabki i  
plakałem.

Sa rzeczy gorsze od samotności. Ale to co sprzedają w Domu Blekitnych  
Światła jest tak popularne, że niemal legalne.

W sercu ciemności, w martwym centrum, systemy defekcyjne rozdarły mrok  
wirami światła, przezrzystymi brzytwami pedzącymi we wszystkie strony.  
Wisimy w środku bezdźwięcznej, spowolnionej eksplozji, odłamki lodu  
odpadają na zawsze, głos Bobby'ego napływa przez lata świetlne  
elektronicznej iluzji pustki...

- Wypal te dziwki. Nie utrzymam tego dłużej...

Rosyjski program wznosi się poprzez wieże danych, wymazując pastelowe  
barwy. A ja włączam domowy zestaw instrukcji Bobby'ego w sam  
środek zimnego serca Chrom. Strzela impulsowa transmisja, błysk  
skondensowanej informacji tryska w górę, obok coraz potężniejszych wież  
ciemności rosyjskiego programu. Bobby walczy o te kluczowe sekundy.  
Nieufornowane ramię cienia wysuwa się z mroku; za późno.

Udalo sie.

Matryca sklada sie wokol mnie niby origami.

Na poddaszu cuchnie potem i spalonymi obwodami.

Zdawalo mi sie, ze slysze krzyk Chrom - ostry metaliczny dzwiek. Ale to niemozliwe.

Bobby ryczal ze smiechu. Mial lzy w oczach. Wyszwieltacz w rogu ekranu wskazywal czas operacji: 07:24:05. Cala akcja nie trwala nawet osmiu minut.

Rosyjski program roztopil sie w gniezdzie. Przekazalismy wiekszosc sumy z rachunku Chrom w Zurichu dla dziesieciu miedzynarodowych organizacji charytatywnych. Za duzo tego miala, zeby ruszyc, a wiedzielismy, ze musimy ja zlamac, wypalic do szczetu. Inaczej moglaby do nas dotrzec. Dla siebie wzielismy niecale dziesiec procent i przerzucilismy do zespolu Long Hum w Macao. Pobrali szescdziesiat procent, a reszte puscili do nas przez najbardziej zagmatwany sektor gielady w Hongkongu. Dopiero po godzinie forsa wplynela na dwa konta ktore otworzylismy w Zurichu.

Patrzyłem, jak za nieistotną cyfrą na monitorze wyskakują kolejne zera.

Byłem bogaty.

Wtedy zadzwonił telefon: Miles. Niewiele brakowało, a zawałiłbym zdanie  
hasła.

- Jack, chłopie, sam nie wiem... O co chodzi z tą twoją dziewczyną?

Cholernie dziwna sprawa.

- Co? Gadaj!

- Szedłem za nią jak kazałeś, blisko ale dyskretnie. Była w Eleganckiej

Porazce, posiedziała trochę, potem złapała metro. Poszła do Domu Blekitnych

Światel.

- Gdzie?

- Boczne drzwi. 'Tylko dla pracowników'. Nie mogłem przejść przez

ich ochronę.

- Jest tam jeszcze?

- Nie, stary. Zgubiłem ja. Tu wszyscy wariują. Wygląda, że Blekitne światła zamykają interes, chyba na dobre. Wyje siedem różnych alarmów, wszyscy latają w kolko, są gliny z ciężkim sprzętem... I jeszcze pełno różnych takich, wiesz, facetów z ubezpieczeń, ci od nieruchomości, furgonetki ze służbowymi rejestracjami.

- Co się z nią stało, Miles?

- Zgubiłem ja, Jack.

- Miles, zatrzymaj te forsy z koperty, dobra?

- Poważnie? Słuchaj, naprawdę mi głupio. Ja....

Odwiesiłem słuchawkę.

- Zaczekaj, aż jej powiemy - rzekł Bobby, wycierając ręcznikiem naga pierś.

- Sam jej powiedz kowboju, Ja idę na spacer.

Wychodze w noc i neony, pozwalajac, by niosl mnie tłum. Ide na slepo, nie myśle, chce byc tylko elementem tego zbiorowego organizmu, chipem swiadomosci dryfujacym po geodezyjnej. Nie myśle, po prostu stawiam jedna noge przed druga.

Po chwili jednak pomyslałem i wszystko nabralo sensu. Potrzebowala pieniedzy.

Myslałem tez o Chrom. O tym, ze ja zabilismy, zamordowalismy rownie pewnie, jak gdybysmy poderzneli jej gardlo. Noc, ktora mnie niosla przez ulice i place, juz na nia polowala. A Chrom nie miala gdzie uciekac. Ilu jej wrogow krazylo chocby tylko w tym tłumie? Ilu ruszy teraz, gdy nie powstrzymuje ich lek przed jej pieniedzmi. Zabralismy wszystko, co miala. Znow byla na ulicy. Nie wierylem, aby dozyła switu.

W koncu przypomniałem sobie kawiarnie, gdzie poznałem Tygrysa.

Jej okulary zdradzaly cala historie; wielkie i ciemne, z wiele mowiaca plama kredki w kolorze skory w rogu jednego ze szkieł.

- Czcsc Rikki - powiedzialem. Bylem gotow, kiedy je zdjela.

Niebieskie. Blekit Tally Isham. Czysty blekit, jak znak firmowy, z ktorego sa slynne. I ZEISS IKON otaczajace teczowki malenkimi zlotymi literami, zawieszonymi tam niby drobinki kruszcu.

- Piekne - stwierdzilem. Kredka skrywala zsiniala skore. Przy tak dobrej robacie nie bylo zadnych blizn. - Zarobilas troche forsy.

- Tak, zarobilam - zadrzala. - Ale juz nie bede. Nie w ten sposob.

- Mam wrazenie, ze tamten lokal wypadl z interesu.

- Och - jej twarz nie drgnela. Nowe, blekitene oczy byly nieruchome i bardzo glebokie.

- To bez znaczenia. Bobby na ciebie czeka. Zrobilismy duzy numer.

- Nie. Musze wyjechac. On chyba nie zrozumie, ale musze.

Skinalem glowa patrzac, jak ramie bierze ja za reke. Zdawalo sie, ze nie nalezy do mnie, ale ona trzymala je, jakby nalezalo.

- Mam bilet w jedną stronę do Hollywood. Tygrys zna ludzi u których mogę się zatrzymać. Może nawet trafię do Chiba City.

Miała rację co do Bobby'ego. Wrociliśmy z nią. Nie rozumiał. Ale dla niego spełniła już swoje zadanie. Chciałem jej powiedzieć, by nie cierpiała z tego powodu. Ponieważ wiedziałem, że cierpi. Nie wyszedł nawet na korytarz, kiedy już spakowała rzeczy. Odstawiłem jej torby, pocałowałem ją, rozmasowałem kark i coś narastało we mnie, tak jak morderczy program wyrastał nad danymi Chrom. Nagły zanik oddechu, w miejscu, gdzie nie istnieją słowa. Ale musiała przecież zdążyć na samolot.

Bobby siedział na obrotowym krześle przed monitorem i patrzył na swój łańcuch zer. Włożył okulary i wiedziałem, że wieczorem siądzie w Eleganckiej Poradce, sprawdzi pogodę, będzie czekał na znak, na kogoś, kto mu powie jakie będzie jego nowe życie. Prawie tak jak przedtemm choć wygodniej. Wciąż musiał czekać na rozdanie kolejnej karty.

Próbowałem wyobrazić ją sobie w Domu Błękitnych Światel, pracująca na trzygodzinne zmiany w aproksymacji szybkich snów, gdy ciało i pare uwarunkowanych odruchów zajmowało się reszta. Klienci nigdy się nie

skarżyli ze udaje, ponieważ były to prawdziwe orgazmy. Tylko ona czuła je -  
jesli w ogóle coś czuła - jako blade, srebrzyste rozbłyski na samej granicy  
snu. To jest tak popularne, że prawie legalne. Klienci bywają rozdarci  
między potrzebą towarzystwa a pragnieniem samotności. Zresztą chyba o to  
właśnie chodziło w tej szczególnej grze, nawet przed wprowadzeniem  
neuroelektroniki, która pozwala na realizację obu tych zachcianek  
równocześnie.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer linii lotniczej. Poddałem jej  
prawdziwe nazwisko i numer lotu.

- Chcę to zmienić - powiedziałem. - Na Chiba City. - Zgadza się, Japonia.

- Wcisnąłem do szczeliny kartę kredytową i wystukałem kod identyfikacyjny.

- Pierwsza klasa.

Odległy szum, kiedy skanowali stan mojego kredytu.

- Powrotny też.



\* \* \* Sadze, ze odebrala forse za bilet powrotny. A moze nie potrzebowała,  
gdyz nie wrocila. Czasem, pozno w nocy, mijam wystawe z plakatami gwiazd  
symstymu, wszystkie te piekne, identyczne oczy patrza na mnie z niemal  
rownie identycznych twarzy. I czasem to sa jej oczy. Ale nie twarz, zadna z  
nich, nigdy. I widze ja bardzo daleko, na skraju ciagu nocy i miast, a ona  
macha do mnie na pozegnanie.